



ZACZYŃ



T Y G O D N I K

Nr. 12 (17).

Warszawa, czwartek dnia 25 marca 1937 r.

Rok II.

EWOLUCJA CZY REWOLUCJA

W myśl naszych założeń teoretycznych nie będziemy omawiać tych słów ani pod znakiem historii ani filologii.

Nam wystarczy stwierdzić stopień wartości użytkowej tych słów dla myślenia i działania państwowego. Słowa te „ewolucja” i „rewolucja” są dziś napewno nie mniej używane i nadużywane, niż słowa: „rzeczywistość”, „państwo”, „naród” i t. p., przez sfery inteligencji „wyższej” — profesorsko-zawodowej, „średniej”: dziennikarsko-literacko-kawiarnianej, przez młodzież dorastającą, a gaworzącą na tematy polityczne.

Po najgłębszym nawet namyśle trudno wydobyć z tych używanych powszechnie słów jakąś jasną, ścisłą koncepcję, gdyż są one używane w stosunku do „polityki” raczej w sensie uczuciowym, emocjonalnym, niż pojęciowo-klasyfikacyjnym, jak to ma miejsce w naukach przyrodniczych odnośnie do terminu „ewolucja”.

Jeszcze jedna uboczna uwaga. W dziedzinie nauk przyrodniczych ewolucja lub jej synonimy oznaczają przeciwieństwo lub zerwanie linii ewolucji; w dyskusjach politycznych odwrotnie, ewolucja oznacza przeciwieństwo rewolucji. Innymi słowy — przyrodnik używa te słowa pojęciowo, „politykoman” — uczuciowo.

Postaramy się wyjaśnić to nasze ujęcie.

Nauki przyrodnicze, głównie w XIX wieku, wprowadziły teorie ewolucji, polegające na doszukiwaniu się ciągłości zjawisk w świecie organicznym i stopniowym narastaniu zmian w organizmach żywych. Te teorie nabrały od czasu teorii Darwina specyficznego posmaku przez wzgląd na zastosowanie ich „na gorąco” do dziejów ludzkich.

Już przed Darwinem teoria Malthusa była próbą oparcia teorii socjologicznych na „prawach” przyrodniczych, lecz dopiero od czasu Darwina teorie „ewolucji” w dziejach politycznych zaczęto uważać za naukowe.

Walka dookoła tej teorii, niedogodnej dla tradycjonalizmu i racjonalizmu, stawiającego człowieka ponad „przyrodę”, stworzyła ten posmak, o którym mówiliśmy.

Walka ta, mająca swoje chlubne karty w dziele wyzolenia naukowych badań od więzów teozoficzno-tradycjonalnych, przyczyniła się do utrwalenia przekonania, że można użytkować w naukach humanistycznych teorie ściśle, równe teoriom przyrodniczym.

Na tych tłach powstała „naukowa ekonomia” i inne tym podobne dziedziny.

A nauki przyrodnicze przeciwnie już bardzo dawno przestały stosować teorie Darwina i inne podobne teorie ewolucjonistyczne.

Samo pojęcie ewolucji w naukach przyrodniczych utraciło cały swój bagaż war-

tościowy, i stało się podrzędnym pojęciem klasyfikacyjnym u drugorzędnych „naukowców” humanistycznych, a szczególnie u użytkowników teorii humanistycznych, publicystów i dziennikarzy, do dziś panuje przeświadczenie o ścisłości i naukowości terminu „ewolucja”. Tym łatwiej im to przychodzi, że nigdy naogół nie precyzują oni pojęcia „ewolucja”, a tylko przeciwstawiają je terminowi „rewolucja”. Czy to konserwatyści, czy liberałowie, a nieraz i „radykał”, uciekając przed tym strasznym widmem-słowem „rewolucja”, chronią się na słodkie, zaciszne wody „ewolucji”.

Zdąleka od burzy i niepokoju — leży kraina ewolucji, miejsce odpoczynku dla nerwów i pogody ducha (oraz zezwolenia na zaprzestanie wysiłku umysłowego).

Charakter emocjonalny nie pojęciowy cechuje wartość użytkową tego terminu.

A teraz przejdźmy do słowa „rewolucja”. Ten termin został ukuty w warsztatach humanistycznych (historycznych), i pod różnymi pseudonimami przeniesiony do nauk przyrodniczych jako termin pomocniczy, oznaczający załamanie się linii ewolucji i razem z nią przechodzący do rekwizytów muzealnych.

Natomiast w sprawach politycznych termin „rewolucja” jest w chwili obecnej w swym pełnym rozkwicie, jest on stale użytkowany, to też należy mu się obszerniejsze omówienie.

Rewolucja w potocznym i najczęściej rozumianym sensie oznacza burzenie starego ładu, norm prawnych, obyczajów i t. p. mniej lub więcej uświęconych i działających na starszych automatycznie, a na młodzież — przez wychowanie.

Ta cecha burzenia starego jest otoczona nimbem emocjonalnym gwałtu, burdy, niszczenia mienia, braku wszelkiego bezpieczeństwa osobistego, określonych norm prawnych — jednym słowem chaos, rozrób, koniec świata, oczywiście dla tych wszystkich, którzy mają dużo do stracenia, lub którym wydaje się, że wszelki gwałt zacznie się od nich lub na nich się skupi.

Takie wyobrażenie rewolucji, narzucane wszystkim przez widmo Wielkiej Rewolucji Francuskiej, musi być nareszcie przezwyciężone, gdyż Wielka Rewolucja straciła już swój czar największego przełomu dziejowego i psychicznego w dziejach ludzkości.

Nowy rekord został ustalony przez wiel-

REDAKCJA ZACZYŃU SKŁADA PRZYJACIOŁOM, CZYTELNIKOM I WSPÓŁPRACOWNIKOM SERDECZNE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE.

ką wojnę, która zburzyła stary ład jeszcze więcej radykalnie i skutecznie, niż uczyniła to Rewolucja na przełomie XVIII i XIX wieku.

Lecz gwałtowne burzenie starego nie zakończyło się ukończeniem wielkiej wojny. Przeciwnie po chwilowym oszołomieniu i nieudanych próbach powrotu do ładu przedwojennego, następuje cały szereg wielkich a bezprzykładnych w dziejach ludzkich świadomych prób ostatecznego zniszczenia starego ładu i zastąpienia go nowymi układami państwowymi, społecznymi, obyczajowymi i t. p.

Wielka wojna czyniła zmiany przy akompaniamencie huk armat, olbrzymich hekatomb ludzkich, gwałtu nad prawem własności, czym upodabniała się emocjonalnie do Wielkiej Rewolucji.

Przemiany nawet najbardziej radykalne po wojnie, a czynione obecnie już prawie we wszystkich krajach i we wszystkich częściach świata, dokonywują się na ogół przy dekoracjach odmiennych niż dawne, i dla tego publiczność nie nazywa ich rewolucjami.

Natomiast twórcy tych gwałtownych przeobrażeń, czy to Mussolini, czy Hitler, czy Stalin nazywają swoją epokę rewolucjami, a opozycję nazywają kontrrewolucyjną.

Jest to dziwoląg słowny dla tych wszystkich, którzy rewolucję rozumieją tylko w ustach tych, co chcą dorwać się do władzy, lecz nie u przedstawicieli władzy, i to jakiej władzy!

Przemyslenie tej sprawy winno wystarczyć dla ludzi umiejących myśleć, żeby odżegnać się od tradycyjnego pojmowania rewolucji pod znakiem emocji, strachu, czy chęci odwetu za krzywdy doznane przez lud, czy nie lud.

Przejdźmy do drugiego naiwnego i powszechnego mniemania o rewolucji, a mianowicie, jakoby rewolucję wywoływał uciskany lud, albo że rewolucja „wybucha”, gdy miarka krzywd przebieże się, lub gdy kropla gniewu ludu przepelni kielich gorczy.

Dziś po tylu rozmaitych „rewolucjach” możemy już dostatecznie ściśle przyjąć teorię, że rewolucji nie robi się ot tak, w pewnej chwili wzburzenia tłumu, bez przygotowania, bez organizacyj, działających długo a sprawnie i bardzo znacznymi środkami materialnymi.

Na wszystkie rewolucje godne tej nazwy, a nawet na większe awantury, burdy, zamieszki czy pogromy idą znaczne fundusze. O tym, że te fundusze często płyną z dziwnych źródeł zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych, nie będziemy tutaj mówili.

Wyjawienie tych źródeł zwróciłoby oburzenie stojących na uboczu, zarówno prze-

ciw stronie biorącej, jak i dającej. To też obie strony starają się ukryć zarówno same fundusze, jak i ich źródła.

Odnosi się to zresztą do wszystkich partii politycznych.

W każdym bądź razie, gdy mówimy o rewolucji, musimy przede wszystkim zdać sobie sprawę z organizacji, która „robiła“ rewolucję, i środków na tę działalność. Uścisk, nędza ludności, oburzenie na akty niesprawiedliwości — są to akcesoria, których nigdy nie brak w żadnym prawie społeczeństwie, ani czasie.

Nagromadzenie materiału zapalnego, stanowiącego amunicję rewolucji, bądź też ludzi niezadowolonych a gotowych na wielkie ryzyko, będących „mięsem armatnim“, jest właśnie cechą okresów przełomowych, w których rewolucje, że tak powiemy, wiszą w powietrzu. Właśnie tylko w okresach przełomowych jest możliwe stworzenie organizacji dążącej do rewolucji.

Takie rozważania prowadzą jednak do błędnego koła logicznego: czy rewolucja wynika z przełomu psychicznego, czy przełomy dziejowe są wywoływane przez rewolucje psychiczne. Nie jesteśmy zwolennikami werbalnych dyskusji na wzór większości publicystów, to też dla nas ważną jest jedynie strona psychiczna rewolucji, a nie brutalne efekty, towarzyszące często akcji rewolucyjnej.

Rewolucja psychiczna oznacza dla nas nie tyle wrogość dla starego ładu, ile dążenie do zupełnie nowego układu, który ani wywodzi się ze starego, ani nie chce nic zachować ze starych norm.

To też nie zmiany w strukturze materialnej układów współżycia ludzkiego są decydujące dla rewolucji. Również nawrót do pewnych starych typów organizowania życia społecznego czy gospodarczego nie przekreśla ważności dokonanej rewolucji, o ile w psychice społeczeństwa nastąpiły zasadnicze zmiany.

W tym też psychicznym znaczeniu wielka wojna była olbrzymią rewolucją; jeszcze większymi i permanentnymi (stałymi) rewolucjami są w tym ujęciu nowe ustroje dynamiczne.

Tak też pojmują to sami twórcy tych dynamicznych układów państwowych, rozumieją oni przez to, że rewolucje psychiczne w ich krajach dopiero się zaczęły i dlatego jeszcze do końca tych rewolucji psychicznych.

Zestawmy teraz takie pojmowanie słowa „rewolucja“ ze słowem „ewolucja“. Ewolucja w tym zestawieniu oznacza niechęć do zasadniczych zmian psychicznych w pierwszym rzędzie, a materialnych w drugim.

Ewolucja oznacza — obawę, przed niewiadomym, oznacza niewiarę w twórczość w ogóle, lub twórczość własnego społeczeństwa, czy narodu, dostatecznie wielką, aby sprostać wymogom zwycięskiej rewolucji.

A teraz popatrzmy, które to kraje odważyły się na ten skok w nieznaną, czyli na rewolucję psychiczną i jej konsekwencje ustrojowe, polityczne, gospodarcze, wychowawcze i normatywne.

Jako typowe weźmiemy prócz wskazanych już Niemiec, Rosji, Italii jeszcze Turcję i Japonię. Ta ostatnia zaczęła pierwszą wielką rewolucję psychiczną i do dziś nie przestaje w tej akcji nowatorskiej. To nowatorstwo według nas jest właśnie jedynie godne uwagi w tych zapasach, które nie stawiają na ewolucję, a przeciwnie dążą do najgwałtowniejszych i najszybszych zmian istniejącego stanu rzeczy.

Wszystkie wymienione kraje i inne w analogicznej sytuacji dlatego właśnie postawiły na kartę ryzyka, czyli rewolucji, gdyż uznały swoją „rzeczywistość“ za mało wartościową i nieodpowiadającą swoim ideałom czy potrzebom państwowym, a ewolucję uznały za drogę prowadzącą prosto do zguby, lub conajmniej do zepchnięcia ich krajów do roli państw zależnych.

Rezultat tych skoków w niewiadome, tego postawienia na wielką twórczość swych narodów, okazał całą wartość wielkich zrywów psychicznych, nie obawiających się gwałtowności zmian, czyli rewolucji psychicznej i ustrojowej.

Skutek tych powodzeń rewolucyjnego myślenia i działania zmusił nawet kraje bogate i zwycięskie, (przede wszystkim Stany Zjednoczone) do porzucenia drogi wygodnej a mifej im ewolucji i wejścia na drogę rewolucyjnych przeobrażeń.

Przestano wydziwiać tło i akcesoria tych zrywów, tak jak zaprzestano łączyć z pojęciem „rewolucji“ efekty, które związane były z „rewolucjami od dołu“, a więc: niszczenie, akty gwałtu, przemocy czy dzikości.

Rewolucje dokonane w państwach dynamicznych poza pewnymi scenami z dramatu dojścia do władzy, są typu rewolucji od góry, gdzie udział mas, uciskanego i niezadowolonego ludu, sprowadza się do..... pochodów i innych inscenizacji z gatunku widowisk teatralnych.

Zastosujmy te rozważania do naszego położenia.

Czy Polska może stawiać na ewolucję, na powolne powiększanie swych jakże nikłych zasobów? Czy zabezpieczy nam ta droga zaspokojenie konieczności państwowych, dyktowanych nam z nieubłaganą logiką przez dynamicznych sąsiadów?

Czy naprawdę obawiamy się metod rewolucji od góry, które powszechnie zdały egzamin? Czy naprawdę grupy społeczne, które nigdy nie przeszły przez strukturę własnej, mocnej państwowości, mogą wykrzesać z siebie zrozumienie potrzeb państwowych i potrafią własną, nieprzymuszoną wolą i twórczością zabezpieczyć byt państwa?

Dla nas państwowców odpowiedź jest jasna, że **nie!**

WYBORY CZY WYZNACZANIE

Skomplikowana struktura spraw społecznych, a w szczególności — państwowych czyni z nich przedmiot trudno poznawalny. Jednostek tedy kompetentnych do kierowniczej, a więc i planistycznej, projektodawczej pracy państwowej jest z pewnością **n i e w i e l e**. Tym bardziej, że wchodzi tu w grę nie tylko kwalifikacje intelektualne, jak bystrość, szybkość orientacji, wykształcenie fachowe, ale i przymioty moralne.

Każdy, kto trzeźwo i bez uprzedzeń bodaj przez chwilę nad tym pomyśli, będzie musiał to uznać za pewnik. Z drugiej strony przecież wszyscy o wszystkim nie mogą rozstrzygać, jeśli nie ma w konsekwencji dojść do bezładu i chaosu.

Zagadnienie sprowadza się więc nie do tego, czy „rządy sprawować“ mają wszyscy, czy niewielu, lecz do pytania: w jaki sposób dobrać ekipę kierowniczą?

Otóż tu są w zasadzie dwie możliwości. Wyznaczanie przez kompetentnych i wybór przez ogół.

Te dwie możliwości redukują się natomiast do jednej, jeśli założymy wymóg sensowności.

By nie pozostawać w sferze wyłącznie abstrakcyjnej, posłużmy się jakimś przykładem. Z takiej jednak dziedziny, by możliwie maksymalnie wyłączyć czynnik emocjonalny, a sprawę wyizolować do momentów sensorycznych, rzeczowości.

Wyobraźmy więc sobie grupę dziesięciosobową, która pragnie zwiedzić wystawę obrazów. Gdyby w skład tej grupy wchodził jeden historyk sztuki, sprawa przewodnika była by załatwiona. Nasz zespół składa się jednak z czterech szewców, czterech stolarzy i dwóch dentystów. Pominiemy już — dla uproszczenia — kwestię

złej woli, która mogła by się ujawnić, gdyby kierownictwo było płatne. Wówczas nie jeden z grupy — czy skutek niewiedzy, czy nawet mimo świadomości braku kwalifikacji — dołożyłby wszelkich starań, by osiągnąć stanowisko przewodnika. Oczywiście, nie tylko interes pieniężny musiał by tu grać rolę motywu, ale również i chęć zaspokojenia ambicji i t. p. Pomijając w naszym przykładzie okoliczność działania w złej woli, nie chcemy tym samym bynajmniej stwarzać pozoru, jakobyśmy nie dostrzegali znaczenia tego czynnika w życiu społecznym.

Nasza grupa ludzi „dobrej woli“ mimo to narażona jest na niebezpieczeństwo. Oto bowiem wprawdzie jeden ze stolarzy — to historyk sztuki samouk, ale jeden z dentyków to człowiek „bywały“, dufny w skarby swej inteligencji, a ponieważ czytał kilka recenzji z wystaw obrazów, wychwytał kilka wyrażen fachowych, przeto operując nimi „zgrabnie“ w kwiecistych zwrotach sugeruje szewcom i stolarzom, że to on, pan dentysta, jest najbardziej odpowiednim na przewodnika.

Widzimy zatem, że umiejętność prezentowania swego towaru w najlepszym świetle nie musi iść koniecznie w parze z posiadaniem zapasów najlepszej jakości. Zdolność przekonywania drugich o zasadności

jakichś poglądów czy czyjejsz zdatości to zgoła coś innego, niż umiejętność samodzielnego zdobywania pewnych twierdzeń, umiejętność trzeźwej oceny ludzi i sytuacji i trafnego wyboru środków działania. Co więcej, te odrębne zdolności rzadko spotykamy w postaci unii personalnej. Nasz stolarz, historyk sztuki samouk, człowiek skromny i cichy, uważał by zapewne za ujmę dla swej godności, gdyby miał walczyć o stanowisko kierownika wycieczki, przekonując innych o swych kwalifikacjach.

Szanse zatem w y b o r u najkompetentniejszego są niemal równe zeru. Ażeby bowiem dobrać kogoś najbardziej z pośród danych kandydatów kompetentnego, trzeba być bądź od nich bardziej kompetentnym bądź przynajmniej o tyle kompetentnym, że potrafi się wskazać **n a p o d s t a w i e z d a n ń o b i e k t y w n i e u z a s a d n i o n y c h** — bardziej od siebie kompetentnych. Np. lekarz — lepszego od siebie terapeuty, ale nigdy — laika.

Jeśli tedy nasze rozumowanie jest słuszne, to jego wynik miałby wcale doniosłe konsekwencje. Posługiwanie się zasadą wyboru przy ustanawianiu kierownika znaczyłoby opowiedzenie się za loterią, ślepym trafem. Konsekwentni byli tu jedynie starożytni Grecy, którzy uważając, że wszyscy są równie godni, by piastować urzędy, losowali poszczególnych dygnitarzy.

I dziś nie brak zakapturzonych zwolenników takiego systemu. Prof. Kelsen, który uchodzi za znakomitość w swej specjalności, twierdzi, iż sedno zagadnienia tkwi w tym, czy człowiek może poznać absolutną prawdę („O istocie i wartości demokracji“). Jest to uderzający mizerny argument. Wskazanie na to, że w naukach społecznych nie dopracowano się bodaj w skromnym zakresie

Od Administracji

Następny Nr. 13 (18) **Zaczyń** ukaże się w piątek, dnia 2 kwietnia 1937 roku.

sie powszechnie przyjętych wyników, nie rozstrzyga bynajmniej zagadnienia. Mimo to, bowiem, że nauka nie dysponuje w zagadnieniach socjologicznych często twierdzeniami typu „jest tak a tak“, dostarcza jednak w każdym bądź razie wielu ustaleń negatywnych („nie jest tak a tak“, „A nie pozostaje w żadnym związku z B i t. p.“). A tych właśnie laicy nie znają. Nie można tedy nie dostrzegać różnicy stopnia wiedzy lub wiedzy rozmaitych ludzi. Między „wszystkim“ a „nic“ jest obszerna skala niuansów. Nie można też lekceważyć faktu większej lub mniejszej sprawności intelektualnej poszczególnych jednostek.

Mając to na uwadze, należy stanowczo przeciwstawić się twierdzeniu, iż obojętny jest skład ekipy kierowniczej, można ją przeto kompletować na zasadzie wyboru.

Skoro więc ją się odrzuca, pozostaje jedynie — zasada wyznaczania. Przyjęcie tezy nie znaczy wcale, że tym samym wszelkie trudności są usunięte. Niemniej jednak stawia się ważny krok naprzód w tej sprawie. Eliminuje się uprząta, pewne stale brużdzące włączniki w rozważaniu tego problemu. Tradycyjny bowiem jest nawyk do nawrotów do zasady wyboru nawet u tych, którzy jej szkodliwość rozumieją. Tak np. prof. Czesław Znamierowski („Wiadomości elementarne o państwie“) uważa, iż „myśl realna i zdrowa“ to ta: „najwięcej dbała o interesy wszystkich członków społeczności państwowej była by ta decyzja, w której brali by nieprzymuszony i nieskrępowany udział wszyscy ci członkowie społeczności“.

Poza trudnością, wręcz niemożliwością udziału wszystkich w decyzjach państw wielomilionowych, oczywista jest to utopijność tego, by był on „nieprzymuszony i nieskrępowany“. Już Arystoteles, ten genialny empiryk-realista, nie miał tu żadnych złudzeń. „Ponieważ — powiada — społeczeństwo nie ma często środków na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb, przeto krząta się pilnie koło swych zajęć, nie chce zupełnie zajmować się cudzymi (tu „mały“ lapsus: sprawy państwowe nie są, choć wielu wydają się — „cudze“) sprawami, i ma w pracy (zawodowej) więcej

radości, niż w polityce i na stanowiskach państwowych, chyba żeby urzędy dawały wysoki dochód. Człowiek bowiem przeciętny dba bardziej o zysk, niż o zaszczyty“ („Polityka“, VI. 4. 1381 b).

Ale nawet abstrahując od tego, na cóż zda się największa dbałość przy braku kompetentności?!

Zagadnienie zatem sprowadza się do wyznaczenia ekipy o najwyższych kwalifikacjach zarówno intelektualnych, jak i moralnych.

Sprawa to niełatwa. Tym bardziej wysiłki umysłowe trzeba skupić w tym ściśle wytyczonym — kierunku, a nie kołować wzdłuż skompromitowanych półśrodków.

Trudność wszak wprowadzenia w życie konsekwencji pewnych zasad, konstrukcyj czy też nie może być żadną miarą sensowną przyczyną w realizowaniu ich antytez.

Niestety w życiu często tak — niesensownie bywa. A przecież pierwsze (tezy) — jako prawdziwe — mają swoją „moc“, są „ważne“ zupełnie niezależnie od tego, czy je głosimy, propagujemy, czy też nie chcemy ich uznać. Grzmoty i błyskawice „miały miejsce“ w danym odcinku czasu, mimo, że ten i ów ich nie słyszał, czy nie dostrzegł, bądź też — paradoksalnie — nie chciał usłyszeć, czy dostrzec. Rzecz ma się w zasadzie tak samo w wypadkach bardziej skomplikowanych, mimo, że tam nie jest równie jasna.

Trudności doboru właściwego kierownictwa są znaczne, ale z tego nie wynika, by „wymknąć“ się im, posługując się zasadą wyboru. Jak bardzo szkodliwe były i są konsekwencje takiego „wybiegu“, nad tym zbędne bliżej się rozwodzić.

„Zdawałem sobie zawsze sprawę z trudności i usiłowaniem moim było zawsze budzić ambicję przełamania tych trudności. Wyznaję całkowicie zasadę, którą wypowiedział największy człowiek na świecie — Napoleon: Sztuką łamania przeszkód jest sztuka nieuwważania tego lub owego za przeszkodę“ — tak pisał Marszałek Piłsudski.

Słowa te wskazują wyraźnie linię działania — i w naszym zagadnieniu. Trudności ustanowienia kierownictwa państwowego drogą wyznaczania — mimo, że wielkie — nie są nie do przewyciężenia.

Trzeba jedynie dobrej woli i kompetencji.

Znajdą się bowiem ludzie, którzy mogą się wykazać swą zdadnością w gronie zdolnych do ocen obiektywnie uzasadnialnych.

Rzecz najważniejsza — jądro każdego systemu ustrojowego: jego punkt zaczepiania o fakt konkretny.

Właściwy uchwyt przesądza tu w znacznym stopniu dalsze konsekwencje.

Ale właśnie dlatego tak bardzo staranny musi być dobór grupy podstawowej. Muszą to być ludzie o kwalifikacjach bezspornych dla nieuprzedzonych. Ludzie, którzy znają się na ludziach. Którzy potrafia uwolnić się od osadu przesądów, nawarstwień sentymentów i resentymentów, i w sposób rzeczowy, ściśle obiektywny analizować ludzi i sytuacje.

Wartość obiektywna poczynań, a więc i doboru ludzi, zaszpunktuje niezadowolenie.

A zwalczać musi się tu pewne uczuciowe uprzedzenia. Społeczeństwo niżej stawia w hierarchii godności — mianowanie, niż wybory.

Wysoki poziom „mianowanych“ może się walcie przyczynić do zmiany tego nastawienia społeczności.

W pewnych dziedzinach dobór na pewne stanowiska przez wybory wydawał by się czymś zgola śmiesznym. Pomyślmy sobie, jakby to studenci wybierali profesorów uniwersytetu.

W życiu „politycznym“ zasada kompetencji nie znalazła jeszcze powszechnego zrozumienia.

Niemniej „obowiązuje“ i w tej dziedzinie. I wszelki postęp uwarunkowany jest realizacją tego wskazania.

Szczególnie w naszym państwie, w którym tyle mamy do odrobienia — wciąż jeszcze — niepodobna nie doceniać postulatów kompetencji, jako *conditio sine qua non*. (119).

KTO I JAK RZĄDZI MYŚLAMI MILIONÓW?*)

LEKARSTWO DLA NIEZADOWOLONÝCH

Drugim czynnikiem uwypuklającym rolę propagandy i prowokującym ją jest światowy niepokój społeczny i polityczny. Tak się złożyło akurat, że z rozwojem innych rzeczy rozwija się i pogłębia niestałość warunków, rosną antagonizmy socjalne, wzrasta groźba wojny, mnożą się niezadowoleni.

Niezadowoleni są robotnicy całego świata, zamienieni przez technikę w automaty, żywe dodatki do martwych, choć ruszających się maszyn; niezadowoleni są urzędnicy przedzierzgający się powoli w robotników umysłowych, proletariat w sztywnych kołnierzykach. Ba, kapitaliści też są ponoć pokrzywdzeni — dywidendy są coraz chudsze. Czy chłopci są zadowoleni? Czy farmerzy amerykańscy nie narzekają na swój los?

A sprawa od strony polityki? Niezadowolona jest Japonia z obecnego stanu posiadania i z wpływów europejskich w Azji (90 milionów ludzi), niezadowoleni są Hindusi z panowania angielskiego, z nowej konstytucji, z cel ottawskich i z wielu innych rzeczy (200 milionów ludzi); przed tym o dyktat wersalski, teraz o kolonnie (69 milionów). Mają pretensję Niemcy.

Dojrzewa protest malajskich poddanych Holandii. Malaj-Gob napisał książkę w której prorokuje, że za lat dziesięć skończy się jej panowanie (55 milionów).

I tak dalej. Czytelnik może sobie bez trudu tę listę dalej kompletować.

Dla tych ludzi propaganda i kontrpropaganda jest potrzebna jak lekarstwo dla chorych. Nic więc dziwnego, że polityczni lekarze i znachorzy uwijają się niezgorzej, aplikując idee-dawki w wielkiej rozmaitości.

To trudno, ale walkę o potęgę i władzę (w domu i na zewnątrz) wymaga w wieku XX walki o dusze, zawsze zresztą tego pewnie wymagała.

MAKLERZY NA GIEŁDZIE OPINII

Wszystkie grupy społeczne, nie wyłączając państwa, obok innych funkcji, spełniać zaczynają, i z coraz lepszym skutkiem, funkcję maklera giełdowego na giełdzie opinii.

Kiedyś propaganda była rzadkością, dziś jest regułą.

Centralnym problemem każdej partii politycznej i każdej potężnej grupy gospodarczej jest propaganda.

Bez niej nie ma żadnej akcji masowej. Ileż to pomysłów, idei i dobrej woli rozbiła się o niemożność zorganizowania akcji! Pierwszym problemem, gdy tylko ruch

wyjdzie z powijaków, jest sprawa założenia własnego pisma, zorganizowania swych wieców.

Myśl, — „jak chwycić masy“ jest podstawową w strategii politycznej. Nie zawsze tak było, to prawdziwy produkt XX wieku.

Propaganda, propaganda i jeszcze raz propaganda jest potrzebna, wszystko jedno czy przy wyborach w demokratycznej Francji, czy w totalnej Trzeciej Rzeszy lub Rosji Sowieckiej. Na to oczywiście potrzeba wiele pieniędzy i coraz więcej ekspertów. Wydatki też rosną i wzmagają się odpowiednie organizacje: sztaby propagandowe — jeśli idzie o rozmaite lewiatany, — i ministerstwa propagandy, gdy państwo wychodzi z za kulis na scenę.

Biorąc rzecz pedantycznie, trzeba by powiedzieć, że wszystkie grupy społeczne są grupami naciskowymi, szerczącymi — w ten czy inny sposób — propagandę, oczywiście z tym jednak tylko zastrzeżeniem, że inna rola jest takiej grupy socjalnej jak np. „Centralny Związek Przemysłu Polskiego“, a takiej jak — powiedzmy — „Towarzystwo Ogródków Działkowych“. Ale o tym innym razem.

Myśl: „jak chwycić masy“ jest właśnie trzecim powodem wzrostu propagandy. Łączy się ona z całą ewolucją poglądu na państwo i na naród.

Jan Jakób Rousseau dał nam taki model

*) Patrz nr. 11(16) „Zaczynu“.

państwa, nieźle całkiem funkcjonujący aż do ostatnich czasów. Łącznie z podziałem władz, powszechnym głosowaniem, swoodami obywatelskimi, słowem z demokracją. Zamiast tronów i dynastii poszły w ruch narody („ruszały” się one oczywiście i przed tym ale jako przedmiot obcej woli i decyzji a nie podmiot; słowem „były ruszane” a „nie ruszały się”). Pogłębiał to wzrost oświaty i ustawiczne rozszerzanie podstawy politycznej, przez dopuszczanie coraz niższych socjalnie warstw, coraz młodszych roczników, no i kobiet.

STRÓŻ NOCNY AWANSUJE

Wreszcie ostatnim momentem jest wkroczenie państwa. „Stróż nocny” wyrósł i zmężniał, zaczął się wtrącać do nieswoich podobno spraw i przemienił się wreszcie w „Jedynego Pracodawcę” (ZSRR) ewentualnie w „Totalnego Rozkazodawcę”.

Epoka wiedeńskich walczyków i niefrasobliwych operetek, kwiat z natury delikatny (wolność, automatyzm) nie zniósł czteroletnich oparów wojny światowej i wędnie w cieplarni angielskiej i francuskiej. Czy da się odratować, niewiadomo.

Führerstaat wymaga nieporównanie więcej propagandy niż demokratyczne państwo. Srodków więcej niż normalnych: marszów, parad, mitingów, zjazdów.

A przede wszystkim mitów, jak najwięcej mitów.

O mitach pomówimy osobno, gdy bę-

dzie mowa o jednostkach jako źródłach i motorach propagandy, tu natomiast dodamy jeszcze kilka zdań o roli propagandy w państwie totalnym.

Ze propaganda jest scentralizowana i zastrzeżona wyłącznie dla państwa, nie trzeba chyba przypominać. Propagandy poza państwem nie ma. Mimo to wzrosła ona, została uwielokrotniona bo — udzielmy głosu dobremu specowi Dr. Goebbelsowi — „Rząd musi rozpoznać duszę narodu z precyzją niemal naukową, musi być poinformowany o wszystkich tendencjach psychicznych obywateli. Musi on oświecić naród, jeśli te dążności nie prowadzą do czegoś dobrego, ewentualnie musi ocenić opinię narodu jeśli jest usprawiedliwiona”.

(*Frankfurter Zeitung, Sonntags — Ausgabe, 25—II—1934*).

Mówiąc innymi słowy, rząd musi otworzyć szkołę dla 60 milionów poddanych. Nie jest to wcale głupie, tylko konsekwentne. Łatwiej jest (okazuje się) wmawiać niż zwalczać siłą fizyczną, choćby najdelikatniej.

Rację ma Goebbels, gdy mówi: „Naród nie może iść za rządem, gdy jest uciszany karabinami maszynowymi”. Potrzebna jest propaganda.

W tym wypadku gadanie nie jest tylko gadaniem a znacznie czymś więcej. Zastąpiło stare rekwizyty polityczne — gaz łzawiący, sikawki i bagnety — nowym: wmawianiem. Wmawia się ciągle. Bije się nie po głowie a wbija się w głowę.

Spyta ktoś, czy pomoże to przy sprawach „ważnych”.

Przykład? Proszę.

Większość ludzi dzieli się obecnie, lub skłonna jest dzielić się według hasła: faszyzm czy demokracja.

Ale sprawa nie jest prosta, przynajmniej dla przeciętnego człowieka, ubogiego duchem i umysłem. We Włoszech widnieje wszędzie maksyma Mussoliniego — „Faszyzm jest zorganizowaną, scentralizowaną i autorytatywną demokracją”. O tym poucza wszystkich Włochów organy urzędowej propagandy, proszę w tym poświęcić lat dziesięć a potem... spróbować nie uwierzyć.

W Niemczech żyje maksyma Goebbelsa: „Narodowa Rewolucja dała Niemcom najszlachetniejszą formę współczesnej, europejskiej demokracji”.

I znów o tej demokracji — w odróżnieniu od „czerwonego faszyzmu” — głoszą bez przerwy wszystkie tuby propagandowe.

Wolno chyba zwykłemu śmiertelnikowi zachwiać się w swoich pojęciach o demokracji i o tym, czym ona w ostateczności jest, zwłaszcza gdyby przypadkiem, wiedząc, że Stany Zjednoczone są ultra-demokratyczne, przeczytał, że są one „złym uczynkiem” komunizmu, socjalizmu i faszyzmu” (Hoover: „The Challenge to Liberty” z powodu rooseveltołowskiej NIRA). (d. c. n.)

LITERATURA A PAŃSTWO

By określić stanowisko, jakie literatura powinna zająć wobec państwa i odwrotnie — państwo wobec literatury, musimy najpierw zdać sobie dobrze sprawę z tego, że literatura podlega obecnie głębokim przemianom, tak wewnętrznym jak zewnętrznym, że sztuka nowych terenów eksploatacyjnych, wyrażając treść nową, stara się dla niej znaleźć i formę inną. Wymagania czytelników przeszły ewolucję, którą zmierzyć można dość dokładnie cyframi nakładów.

Nie możemy też tracić z oczu faktu, że nauczanie powszechne zdobywa dla książki olbrzymie rzesze czytelników. Choć wygląda to u nas wciąż kulawo, jednak mimo wszelkich przeszkód natury materialnej, zbliżamy się coraz bardziej do chwili, w której dużo nowych milionów ludzi zażąda słowa drukowanego.

W owej chwili będzie za późno na zastanawianie się, czy ten, czy inny typ literatury jest lepszy. Człowiek, którego oczy raz na dobre przykuje biała karta, pokryta równym szeregiem liter, nie wyzwoli się już z pod władzy najbardziej ludzkiego z narkotyków. Będzie pochłaniał grafomańskie powieści, drukowane w odcinkach brukowych gazet i brukowe broszury.

Nikt się też przecież nie ludzi, że owe masy będą w czytaniu szukały tylko rozrywki.

Wiemy z własnego doświadczenia — każdy z nas kiedyś czytać zaczął — że od książki żąda się znacznie więcej. Przede wszystkim innego, lepszego, a raczej bardziej nam odpowiadającego świata. Czymże innym były dla nas „W pustyni i w puszczy”, „Księga dżungli”, Indianie Fenimora Coopera, dzieje „Młodego wygnańca”? Oto w okresie dzieciństwa, gdy nieprawdopodobieństwo jest prawdopodobne, gdy świat fantazji jest życiem codziennym, wyobrażaliśmy sobie własną osobę krążącą w przedniej straży wypraw Stanleya.

Z biegiem życia zwracaliśmy się do spraw bliżej nas położonych w przestrzeni i czasie, aż zbudziliśmy się we własnym kraju, w obliczu kompleksu doniosłych zagadnień z nim związanych.

A chociaż i teraz zdarza się nam odlecieć

w krainę ułud, tym nie mniej żyjemy w świecie rzeczywistości i w tym świecie żyć chcemy. Przyjmujemy jego obietnice, ale zgodzić się nie możemy z jego wadami; chętnie bierzemy na barki obowiązki, jakie nam narzuca, ale chcemy to czynić w pełnej świadomości rzeczy. Obdarzenia naszą świadomością domagamy się od pisarzy.

Tak, jak owe książki z młodości ukazywały nam ideały bohaterstwa i poświęcenia, tak jak różdżka wróżki i lampa Alladyna dawały nam łatwy sposób kształtowania dziecinnego świata, tak teraz, otwierając książkę, mamy nadzieję, że znajdziemy w niej — już nie rozwiązanie problemów, jakie nam stawia życie — ale chociażby drogę ku nim, lub chociaż świadomość istnienia tej drogi.

Im czytelnik będzie mniej wyrobiony, a więc mniej sceptyczny, tym silniej będzie się tego domagał.

Wracając do tematu chcemy przede wszystkim odpowiedzieć tym, których sam już tytuł oburzył. Literatura a państwo! Czy nie będzie już można pisać o chłopcu, którego się spodobała dziewczyna, by nie usłyszeć groźnego pytania: a co to ma wspólnego z metodologią myślenia państwowego? Nie denerwujcie się, panowie! Nie proszujemy idei wkroczenia państwa w te intymne dziedziny. Sytuacja przedstawia się raczej odwrotnie. Oto w całej literaturze światowej daje się wyczuć zwrot ku sprawom społecznym. Powieść psychologiczna, przez długi czas dzierżąca berło wyłączności, traci coraz częściej grunt pod nogami. Słyszemy nawet głosy, że się przeżyła.

Przeżyła temu książki ostatnich lat kilkunastu, podpisane nazwiskami Prousta, Aldousa Huxleya, Robert Francisa, nie ustępujące najlepszym dziełom XIX wieku.

Jednak zapotrzebowań rynku nie nasyci kilku pisarzy. Co rok wydawcy fabrykują nowe talenty, nie ma dnia prawie, by jakaś nagroda literacka nie uwieńczyła dzieła dwudziestoletniego młodzieńca czerwona opaską. Mnożą się nazwiska i tytuły książek. Człowiek staje bezradny wobec ilości, w której trudno doszukać się jakości.

Ludzie systematycznie przyzwyczajani do sensacji, chcą sensacji wciąż nowych.

Ale fabryka gwiazd ma także swoją odwrotną stronę. Można jeszcze huczną reklamą doprowadzić do rozsprzedaży nakładu, ale trudniej pocziwego czytelnika zmusić do przeczytania drugiej książki autora, którego pierwszej nie mógł już zmordować. Szkoda stąd podwójna, bo i pisarz taki nie łatwo się wyzbędzie żalu do „płochego” społeczeństwa.

W każdym bądź razie jedną z przyczyn spadku zainteresowania powieścią jest niski jej przeciętny poziom. Ale są i inne przyczyny bardziej decydujące. Oto, co mówi w tej sprawie p. Renaud de Jouvenel w wywiadzie udzielonym tygodnikowi *Nouvelle Littéraire*. Zapytany, co go skłoniło do objęcia kierownictwa wydawnictwa „Ciment” w Editions Sociales Internationales, odpowiedział: „Oczywiście, kryzys powieści. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że powieść źle się sprzedaje. Czy dlatego że nie odpowiada już pragnieniom, dążeniom czytelnika? Nie wiem już kto powiedział, że teraz się już nie umiera z miłości. Dziwnie prawdziwy jest ten aforyzm!... To czego chcemy, to powieści o tendencjach społecznych, które by nie objawiały żadnej propagandy. Chcemy dzieł silnych, pięknych, oryginalnych, przepełnionych ludzkością, i któreby odpowiadały pragnieniu poznania, charakterystycznemu dla naszej epoki. I proszę wierzyć, że nie jest to łatwe!...”

W Polsce widzimy podobne prądy. Jaskrawym tego dowodem jest powodzenie powieści zwanych reportażowymi. Dzieła te odzegnują się od wszelkiej fikcji, zapierając się jakiegokolwiek łączności z wyobraźnią, na tym głównie zasadzają swą wartość, że trzymają się ściśle rzeczywistości. I to nie jakiejś rzeczywistości ogólnej, lub syntetycznej, ale po prostu dosłownej prawdy tego, co powiedział jakiś Wojciech lub Maciej.

Liczni pisarze całą swą ambicję pokładają w ścisłym reportażu, wierząc widocznie, że prawdę można znaleźć tylko u małuczkich. Tą wiarą przejęci notują skrętnie każde powiedzenie napotkanego chłopka, pozostawiając trud wyciągania wniosków czytelnikowi. Rezygnują w ten sposób z właściwej pracy pisarskiej, ograniczając wysiłek my-

ślowy do wyszukiwania odpowiednich dla reportażu postaci. Jednocześnie by znaleźć się jak najbliższej owej obiektywnej prawdy, rezygnują ze stylu, ba! nawet ze zwykłej poprawności językowej, przejmując mowę przygodnego rozmówcy. Podobne dzieła są równie pouczające jak paplanie na fryzjera w czasie gdy strzyże włosy. Ale podczas gdy ta ostatnia — szczególnie w ustach prawdziwego mistrza brzytwy — jest nieodzownym akompaniamentem do szczykania nożyc, skracającym nudne chwile fryzjerskiego zabiegu, tamte z racji ich prentensji do reprezentowania literatury, z racji ich zbędności, kradnącej nam czas i uwagę, wreszcie wskutek ich nieodpowiedzialności, — są wyraźnie szkodliwe.

Pragnienie poznania, charakterystyczne dla naszej epoki, to nie pragnienie reportażu, opisujących nasz kraj w sposób używany przez podróżników w relacjach z życia murzynów. Nie chcemy, by nam dzień po dniu dawano sprawozdanie z drobnych czynności nieciekawych ludzi, bez syntezy, bez ogólnego, a więc subiektywnego spojrzenia na te sprawy.

Nie znaczy to, byśmy uważali, że pisarz powinien zamknąć się w swej wieży z kości słoniowej zdala od świata i ludzi, i tworzyć nie zwracając uwagi na płynną rzeczywistość. Olbrzymia większość powieściopisarzy, poetów, filozofów, uczonych, opuszcza swe niedostępne zamki i zwraca się do zagadnień, które do niedawna były wyłączną domeną socjologów. Jest to fakt niezaprzeczony.

Amerykański uczone, antropolog Robert Brifault, autor powieści „Europa”, która wstępnym bojem zdobyła sobie rynek światowy, tłumaczy ten fakt w sposób niepozbowiony słuszności: „każdy intelektualista, obojętne czy zdaje sobie z tego sprawę, jest dziś zmuszony do stwierdzenia, że wartości które zwykł był uważać za absolutne, są fałszywe. Czy zgadza się z tym, czy nie, wieża z kości słoniowej, w której chciałby się schronić, staje się izbą tortur, w której artysta, myśliciel, uczone czują się jeszcze otoczeni złudami i cieniami”.

Nie zamierzamy twierdzić, że liryka jest skazana na zagładę. Uznając w całej pełni doniosłość kulturalną twórczości z życiem społecznym nie związanej (a właściwie pozornie nie związanej), chcemy się zająć twórczością o podkładzie społecznym, która tak silnie się w naszej epoce rozwinęła.

Znamienne są przytoczone powyżej słowa de Jouvenela: „...chcemy powieści o tendencjach społecznych, któreby nie objawiały żadnej propagandy”. Znamienne, bo doskonale streszczają obawę pisarzy, zwanych się liberalnymi, przed zaliczeniem ich do któregośkolwiek z istniejących obozów. Zrazu wydają się słuszne. Jakto pięknie, gdy twórca jest niezależny! Gdy niczym niezwiązany unosi się jak duch nad wodami! Jak jednak rzecz ta wygląda w praktyce? Czy jest możliwe napisanie powieści o podkładzie społecznym, któraby słuszności nie przypisywała żadnej ze stron, któraby nie starała się rozwiązać żadnego problemu, nie szukała wyjścia z żadnego zagadnienia.

Są autorzy, którzy tej sztuki dokonać potrafią. Wynikiem ich pracy są właśnie owe reportaże, o których jużśmy mówili. Jeżeli jednak pojawi się w nich blysk talentu, to o bezstronności nie może już być mowy. Choćby nie wiem jak starali się o t. zw. obiektywizm, sam dobór faktów, a jeszcze bardziej barwa słów, którymi je opisują, nasuną czytelnikowi założenie tkwiące choćby podświadomie w myśli piszącego. I nie pomoże opatrywanie książki licznymi zastrzeżeniami. Jeśli tylko pisarz posiada siłę sugestywną (a czyż bez niej zaśługują na nazwę pisarza?), słowa jego, albo właśnie wątpliwości, będą przekonywać choćby mimo jego woli.

Zdanie sobie sprawy z tego stanu rzeczy jest obowiązkiem każdego autora. Nie wolno zejść na forum publiczne i udawać, że się tkwi ciągle w wieży z kości słonio-

wej. Gdy znajdziesz się wśród bezrobotnych na Annopolu i będziesz im deklamował wiersze awangardy, nie ludź się, że wszyscy będą cię uważali za nieszkodliwego wariata. Zależnie od intonacji głosu, od kilku słów, które im się wydadzą bardziej zrozumiałe, jakiś sens z tego wyciągną. I za ten sens jesteś odpowiedzialny. I to nie tylko przed własnym sumieniem, ale wobec państwa, którego jesteś obywatelem. O tę odpowiedzialność państwo musi się upomi-

nać. Ona to musi stanowić podstawę stosunków obu stron.

Czas wreszcie skończyć z legendą poety o błędnym wzroku, zagubionego w niezrozumiałych dla otoczenia rozważaniach, kładącego swój podpis pod każdą pięknie brzmiącą odezwą, nieświadomego celu do jakiego zostanie zużyta. Od pisarza ma państwo prawo żądać by był obywatelem nie mniej świadomym, niż naczelnik urzędu skarbowego. (133)

REFERATY O MORALNOŚCI

W roku 1934 odbył się w Krakowie VI z kolei Międzynarodowy Kongres Wychowania Moralnego. Z szeregu wygłoszonych referatów około 40 zostało wydanych staraniem komitetu organizacyjnego, jako praca zbiorowa, pod tytułem, który stanowił najgłębsze i najtreściwsze motto kongresu: „Siły moralne wspólne wszystkim ludziom, ich źródła i rozwój przez wychowanie”.

To motto, będące strofą Psalmu Porannego przewijało się słabiej lub mocniej prawie przez wszystkie odczyty, które, wychodząc z różnych założeń ideologicznych drogą niejednokrotnie naciągniętych argumentacji i nic nie oznaczających frazesów starały się doprowadzić do wytworzenia wspólnej płaszczyzny, na której mogło by ziścić się międzynarodowe porozumienie co do nowych ideałów wychowawczych.

„Zbudować świątynię zjednoczonego świata przyszłości, rozwinąć w ludzkości świadomość własnych sił moralnych, rozwinąć ducha, budującego jedność świata, światową współpracę, harmonię światową — oto cel płonący jak znicz na naszym ołtarzu” — woła w przemówieniu powitalnym P. J. Gould. Perspektywa ludzkości pogodzonej ze sobą przez wychowanie nowoukształtowanego człowieka, rozumiejącego największe głębie swej istoty przez usamodzielnienie swego sądu i woli, zrealizuje się w narodzinach powszechnej społeczności, w której pokój, sprawiedliwość, bohaterstwo i braterstwo stanie się najprawdziwszą rzeczywistością...

Wychować więc człowieka dla ludzkości — oto zadanie dla pedagogów, oto gwiazda przewodnia dla teoretyków-wychowawców, zjeżdżających się co kilka lat na kongresy z całego świata, aby odmalować istniejącą rzeczywistość dziejową i zachłysnąć się świetlaną wizją przyszłości.

Te kilkadziesiąt referatów, będących wieloistną mozaiką poszczególnie wyodrębnionych zagadnień wychowawczych, nie wyłamujących się jednak z ram motta „wrodzonych sił moralnych”, przejawiają w różnorodnym świetle swą wartość filozoficzną, poczynając od świetnie sprecyzowanego i konkretnego odczytu prof. Znanieckiego („Dążenia społeczne jako siły moralne”), poprzez mdłe banały Ireny Harand, do szlachetnej deklamacji i frazeologii egzotycznego gościa, członka zakonu Ramakriszny, Jatiswarananda Swami („miejsce kultury moralnej w naszym planie wychowawczym”).

Wśród wielości rozstrzygnąć teoretycz-

nych szeregu tematów wychowania trzeba przede wszystkim zwrócić uwagę na zasadniczą tendencję Kongresu stworzenia takiego ideału wychowawczego, który realizował by się na podwalinach ogólnoludzkich, na zasadzie powszechności i jednolitości, co w sumie daje uniwersalistyczno-międzynarodowy typ nowego człowieka.

Dlatego też referaty Kongresu nakazują szukać, badać, a znalazłszy, spotęgować te siły, które nie są wykwitem spontanicznego geniuszu lecz znajdują się w najgłębszych zakamarkach każdego człowieka, czekając na właściwą podniecię i kierunkowość rozwoju. Tymi siłami moralnymi, tymi podstawami wspólnymi wszystkim ludziom są PRAWDA, PIĘKNO I DOBRO. Co do istnienia ich nie było wśród prelegentów wątpliwości, natomiast budzą się one, jeśli chodzi o danie definicji i wyciągnięcie z niej konsekwencji.

Znaleźć drogi, jakimi chodzi absolutna prawda, uchwycić formy, w jakich przejawia swe oblicze wiekuiste piękno, określić normy etyczne, nie przeszkadzające „Osobowości” realizować się w dążeniu do osiągnięcia własnego dobra przez dobro ogółu — to były zainteresowania, na których w gruncie rzeczy, mniej lub więcej jaskrawie, wyrastały nadbudówki teoretyczne różnorakiego typu, sprowadzające się ostatecznie do konieczności wytworzenia wzoru ogólnego porządku normatywno-etycznego na tle stosunku jednostki do jednostki i jednostki do społeczności. Ten ogólny porządek etyczny, do którego świat ma jakoby zdążać, wymaga więc wyszukania w człowieku „wspólnych sił moralnych” — podstawy dla przyszłego monolitu etycznego.

Rzeczowo bez deklamacji i uniesień przedstawia się referat Floriana Znanieckiego, wybitnego socjologa, który, stwierdzając aksjologiczny osąd obowiązujących norm, czy to na mocy tradycji, czy też wskutek rozumowania etycznego, wskazuje na cały szereg istniejących t. zw. dynamicznych systemów społecznych, posiadających swój własny porządek etyczny, działający we własnych ściśle określonych ramach.

Istnieje więc wielość kompleksów norm obowiązujących, między którymi można przeprowadzić według zasad hierarchii podział na podrzędne i nadrzędne, podkreślając jednak, że nadrzędne stanowią pewien układ, w którym podrzędne raz już zorganizowane w uzgodnieniu z zasadniczą dominantą, nic nie tracą z własnych wewnętrznych porządków.

Takimi najprostszymi „systemami społecznymi” są „czyny społeczne” (altruizm i egoizm, współdziałanie i opozycja, miłość i nienawiść), ponad nimi znajdują się „stosunki społeczne” (stosunek rodziców i dzieci, pracodawcy i pracowników, współników, kolegów i t. d.), które, jak już wyżej było powiedziane, nie tracą swego wewnętrznego porządku-struktury, ulegają jedynie kombinacjom selekcyjnym i organizacyjnym.

Ponad tymi znowu górują t. zw. „role osobiste” spełniane przez jednostki na tle pewnych grup społecznych, a więc: rola lekarza, robotnika, chrześcijanina, Francuza, czyli jednostek, które reprezentują jakąś organizację, rządzącą się pewnymi określonymi normami etycznymi.

Od Administracji

Przypominamy Sz. Prenumeratorom konieczność odnowienia prenumeraty za miesiąc kwiecień i II kwartał.

Numery 1–16 **Zaczynu** wysyłamy po wpłaceniu na nasze konto czekowe w P. K. O. Nr. 25.544 kwoty 4 zł. 30 gr.

Prosimy o podawanie na odwrocie blankietu P. K. O. tytułu wpłaty.

Pałapem tych „systemów społecznych“ są „grupy społeczne“: państwa, narody, partie polityczne, fabryki, domy handlowe, towarzystwa naukowe i t. d., z których „każda zawiera wielką liczbę ról jednostkowych, ułożonych i uporządkowanych w sposób, który się nie da wyjaśnić w ramach definicji stowarzyszenia osób, powiązanych normami zależności lub wzajemności“.

Dalej stwierdza prof. Znaniecki, że filozofia moralna nie dostrzegła tych odrębności, rozważała bowiem tylko jeden rodzaj systemów społecznych, opierając się na stosunkach normatywnych między jednostkami. Nie zorientowała się, że „role osobiste“ i „grupy społeczne“ mają własne normy nadrzędne, to też uogólniając typ porządku moralnego napróżno sprowadzić chce porządki moralne innych „systemów społecznych“ do takich zasad jak „uczciwa gra“, „pomoc wzajemna“, „sprawiedliwość“, „słuszność“ i t. p. Dlatego też należy przyjąć, że nie ma ani jednego takiego postępowania społecznego, które było by całkowitym i zupełnym wylamaniem się z pod porządku, ponieważ, nie czyniąc zadość jednemu porządkowi, czyni się zadość drugiemu.

Świat społeczny jest przeto chaosem mo-

ralnym, który rośnie i komplikuje się w miarę, jak wytwarzają się nowe wzory i nowe systemy. Wobec tego, konkluduje autor, zagadnienie moralne sprowadza się do zorganizowania chaosu systemów społecznych, przez stworzenie takiego porządku, w którym mogłyby zebrać się wszystkie „siły moralne“ ludzkości bez konieczności prowadzenia wzajemnych walk. Ale to nie tylko nie może być zrealizowane, ale nawet nie może być teoretycznie wypracowane.

Te kilkadziesiąt referatów, z bardzo nieznaczными wyjątkami, noszą na sobie silnie wyciśnięte piętno „metafizycznej utopijności“, która z góry przesądza wartość tego rodzaju kongresów.

Wyrobienie intelektualne teoretyków-wychowawców, z których niejedynemu poświęcił całe swoje życie nurtującemu go zagadnieniu kształtowania człowieka, przejawiało się bardzo charakterystycznie w niestosowaniu zasad „realizacjonistycznych“, których brak doprowadził do tego, że wielki pochód idei kongresowych sprowadził się do szlachetnego, emocjonalnego aplauzu i ciągłego dreptania w miejscu.

Wielkie trudy i ciężkie przeszkody, jakie ideowcowi stawia wroga rzeczywistość, nie

decydują jeszcze o tym, czy cel jest utopijny, czy też nim nie jest, bowiem o utopijności świadczyć może nie sam ołśniewający, upragniony cel, ale brak wypracowanych „etapów marszu“, z których każdy dalszy może ginąć we mgle cudownych marzeń, ale każdy najbliższy musi być ściśle określony, sprecyzowany i na trzeźwo oceniony, jako pierwszy moment realizacyjny.

Uczestnicy Kongresu zbyt często operowali swym „chcieniem“ i pragnieniem, które pokrywali mniej lub więcej misterną sztuką teoretyzowania, aby na jaw nie wychodziła bezpłodna frazeologia. „Wychowanie człowieka dla ludzkości“ jest zdaniem nic nie mówiącym, nie można nim operować w oczekiwaniu jakichkolwiek rezultatów prócz wzruszeniowych. Frazesy o „harmonii świata“, „wyzwoleniu z głębi swej jaźni wolnej woli“, „sprawiedliwości dziejowej“ i t. p., od których roją się referaty, ani o cal nie pchnęły naprzód sprawy wychowania. Doszukiwać się sił moralnych wspólnych wszystkim ludziom i w każdym referacie znajdować inne ich źródła można jeszcze bardzo długo, przez nowe 6 kongresów wychowania moralnego. (510).

J A K I Ś W I A T . . .

„Czasem ma się wrażenie, że gdyby na świecie pozostało tylko dwu ludzi, i wtedy jeden był by dozorcą więziennym albo szpiegiem. Ostatecznie dwaj pierwsi ludzie, Kain i Abel, zaczęli swą karierę od szpiegostwa i morderstwa. Abel szpiegował, czy dymy modlitewne Kaina idą do nieba czy też snują się po ziemi, a Kain rozwalił mu za to łeb maczugą. Cóż dobrego mogło wyniknąć z takiego początku?“ — Rzeczywiście z takiego początku, a właściwie końca powieści Antoniego Słonimskiego¹⁾ nie mogło wyniknąć zbyt wiele dobrego. „Dwa końce świata“ są utworem niezwykle interesującym, pisany „na gorąco“ ze swadą i zacięciem właściwymi twórcom „kronik tygodniowych“, ale zamierzonego przez autora celu nie osiągnęły, bo nie mogły osiągnąć, bo są wielkim, zasadniczym nieporozumieniem.

Przede wszystkim w olbrzymim skrócie tematyka utworu. Jest któryś tam „przyszłościowy“ rok naszej ery. Szalony zboczeniec Retlich dostaje w swoje ręce genialny wynalazek wojenny: niebieskie promienie śmierci, którymi postanawia zabić życie organiczne na ziemi. Ponury fantasta i mistyk rasistowski zamierza oprócz siebie ocalić jedynie kilkadziesiąt Eskimosów, chłopców i dziewcząt, rozplodowców przyszłej, wolnej od nalatów cywilizacyjnych „żydo-komuny“, zwycięskiej rasy ludzkiej. Po patetyczno-kabotyńskich orędziach do narodów świata, Retlich skierowuje jakiegoś dnia swoje promienie na wszystkie kontynenty kuli ziemskiej. Ludzie, zwierzęta, ptaki i rośliny giną w ciągu kilku minut. Ze jednak najgenialniejszy

¹⁾ Antoni Słonimski: Dwa końce świata. Powieść, str. 244. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1937. (Uprzednio druk całości w „Wiadomościach Literackich“).

nawet wynalazek musi mieć jakieś swoje słabe strony, z apokalipsy retlichowskiej ocalało kilku mieszkańców Europy. Uczony fizyk angielski profesor Pankhurst ze swą asystentką miss Walker, warszawski intelektualista Szwalba, ponury pijak — Chomiak i cygańska dziewczynka Zina. Tych pięcioro, przeżywszy pierwszy koniec świata dożyje drugiego dnia apokalipsy.

Dotąd powieść Słonimskiego nie nasuwa jeszcze specjalnych zastrzeżeń. Wprawdzie zdeterminowany pesymizm autora budzi już pewne refleksje natury ogólnej, ale fantazja i paradoks w połączeniu z palącą satyrą polityczną właściwie kronikarzowi „Wiadomości Literackich“, każą widzieć w „Dwóch końcach świata“ jedynie ciekawą próbę sfotografowania pewnych ponurych stron rzeczywistości współczesnej. Nieporozumienia istotne, szkodliwość książki Słonimskiego odczuwamy dopiero przy lekturze drugiej części powieści.

Po pierwszym końcu świata, po rozlicznych perypetiach piątki ocalałych, autor umiejscawia całe towarzystwo w Warszawie, w opustoszałym gmachu hotelu „Europejskiego“. Prof. Pankhurst organizuje klasycznie demokratyczne „państwo“ parlamentarne, chce nieść ocalałą cywilizację Eskimosom Retlicha. Ale Eskimosi sami po tę cywilizację przychodzą do profesora. W osiedlu Retlicha wybucha bunt. Grupa dzikusów na czele z ulubieńcem „führera“ Yarem, morduje część towarzyszy i ucieka w świat. Eskimosi przybywają do Warszawy, terroryzują naszych Robinsonów, przygotowują się do walki z Retlichem. W kilka dni później do stolicy naszej przybywa i pościg Retlicha. Wybuch walka, Retlich ginie od ciosu maczugi Yara, nowy pan świata na czele swych współziomków rusza do ciepłych krajów organizować inne życie. Idą za nim Pankhurst z rozkochaną w nim miss Walker, pijanica Chomiak i Zina. Intelektualista

Szwalba zostaje w Warszawie. Nie wierzy już w nic i nikogo, zasywa się w piwnicy hotelowej, żyje lekturą starych książek. „Czasem tylko, gdy spłynęła piękna księżycowa noc na wymarłe miasto, wychodził ze swej jaskini. Stał długo, wychudły i obrosły... Patrzył w niebo, jak gdyby czekał na płynące zdaleka kolorowe aeroplany“.

Przydługa ekspozycja naszego artykułu konieczna była dla uwypuklenia tych wszystkich ujemnych, szkodliwych cech, jakie charakteryzują ostatnią książką Antoniego Słonimskiego. Rozumiemy dobrze, iż rzeczywistość niemiecka i sowiecka, rzeczywistość obozów koncentracyjnych w dyktaturze Hitlera i „procesów“ partyjnych w białym caracie Stalina musi obruszać pisarza tego rodzaju co Antoni Słonimski. Mimowoli jednak nasuwają się tu paralele między Szwalbą i jego ojcem duchowym — Słonimskim, dwoma przedstawicielami „ginącego świata“, dwoma reprezentantami wymierającego gatunku ludzkiego. Intelektualizm, nawet w karykaturalnym aspekcie „pięknoduchostwa“ zawsze jest wartością dodatnią, pozytywną. Czy pojęcie intelektualizmu musi się jednak wiązać z biernością, apatią i pesymizmem niemal samobójczym w obliczu walki i niebezpieczeństwa? Historia świata i aktualna rzeczywistość uczą nas czegoś wręcz innego. Właśnie intelektualista — uczony, artysta, myśliciel — apriorystycznie wywyższony nad tłumy, ma obowiązek tłumom tym przewodzić, uczyć je, walczyć za nie. Jest źle, potępiać zło i zmieniać je na lepsze. Cuchnie obskurantyzmem i demagogią — tępić ciemnotę i piętnować zakłamanie. Przede wszystkim jednak walczyć. Do piwnic schodzić nie wolno w żadnym razie. Odgradzać się chińskim murem osobistej kultury wewnętrznej od zagnotu tłumów, które chcą żyć i tworzyć — to znaczy przegrać wszelką walkę jeszcze przed jej rozpoczęciem. W wieku dwudziestym trzeba umieć stawiać wszystko na jedną kartę, trzeba umieć nie tylko zwyciężać ale i przegrywać. Tego właśnie Antoni Słonimski nie rozumie.

Obok denerwującego pesymizmu „Dwa końce świata“ charakteryzuje jeszcze jedna cecha ujemna. Fałszywe spojrzenie na rzeczywistość aktualną. Liberalizm Słonimskiego i całej „elity“ kulturalnej dziesięcioletniej Polski nie wiele ma wspólnego z prawdziwym pojmowaniem osobistej wolności jednostki. Nie ustroj — komunistyczny, parlamentarny czy totalny — stanowi o układzie społecznych sił państwa, ale przygotowanie, wychowanie i uspołecznienie jego obywateli. Liberalizm w Polsce z roku 1937 to — między innymi — złodziejstwa kapitalistów prywatnych, wypieranie słabszych przez silniejszych na każdym odcinku życia, bicie Żydów na uniwersytetach. Czy takiego liberalizmu broni i chce Antoni Słonimski? Paniczny lęk przed ingerencją państwa w całość życia publicznego do dziwnych zaiste doprowadza paradoksów! Zarazem przywodzi jednak na myśl złośliwe podejrzenie, że nasi liberałowie dążą przede wszystkim do utrzymania aktualnego status quo, że o to tylko kruszą kopie, że po to tylko wylewają beczki atramentu na łamach pism codziennych i periodyków. Słonimski czuje nadchodzący koniec świata. Którego świata? Czy tego, który jest teraz i jest skazany na prędką, może nawet bolesną „śmierć“? Czy może tego drugiego, którego budowę podjąć usiłujemy i my i obcy, który już tworzy się na gruzach starych światopoglądów, teorii i idei? Rzecz prosta, że początek tego drugiego świata będzie jednocześnie ostatecznym końcem pierwszego! (135)

OBNIŻKA PRENUMERATY

Zawiadamy Szanownych Czytelników, że z dniem 1 kwietnia b. r. obniżamy prenumeratę „Zaczynu“.

Prenumerata będzie wynosiła:

miesięcznie w kraju	1 zł.
kwartalnie w kraju	2 zł. 50 gr.
kwartalnie zagranicą	4 zł. 50 gr.

Równocześnie obniżamy cenę numeru pojedynczego do 30 gr.

Komunikujemy naszym Prenumeratorom, którzy opłacili prenumeratę za okres po 1 kwietnia b. r., że w związku z obniżką prenumeraty wpłaty ich będą odpowiednio zaliczone.

ADMINISTRACJA

ECHA MŁODYCH



ODWAGI PANOWIE!

Zajęliśmy takie stanowisko: „Konsolidacja myślenia politycznego, szybka i płodna, jest bezsprzecznie podstawą do przeprowadzenia tych gruntownych reform, jakich kraj wymaga i domaga się, ale nie może się stać puchowym łozem naszej rodzimej „jednomyślności” pojętej jako jednomyślność w nierozstrzygnięciu wielkich spraw, w ich odkładaniu. Konsolidację narodową rozumiemy jako możliwość bez uciekania się do monopartii, przekazywania jednolitej woli dla osiągnięcia wielkich celów, do wyzyskania twórczości i energii w czasie najbliższym i najszybszym.

Nie mamy przed sobą lat na konsolidację.

Albo konsolidacja z wznawaniem bezspornym nadrzędności interesu państwowego, z dobrowolnym wyrzuceniem w opinii kanałów dla jednolitej woli kierującej — albo stan wyjątkowy.

Nic trzeciego nie ma i nie będzie! (Nr. 9(14)).

Z tego powodu ktoś tam w prasie uznał, że zesłaliśmy ze stanowiska „totalnego”, a ktoś inny, że grzozimy.

„Zaczyn” stanowiska nie zmienił i nie zmieni. Pogląd swój na totalizm jako „stan wyjątkowy, jako apel do ochrony państwa przed totalizmem śmierci” wyraziliśmy jasno i niedwuznacznie i nie mamy zamiaru długo się zaprzętać tymi co się boją...

Do takich bojących się dziwnym zbiegiem okoliczności należy jednocześnie i K. Cz. z „Robotnika” (nasz miły towarzysz Pozytywka) i „Kurier Polski”. Ten ostatni organ „sfer gospodarczych”, jest zwolennikiem konsolidacji z obozem pułkownika Koca, a wogóle jest zwolennikiem konsolidacji... p. Wierzbickiego, człeka bardzo układnego, z każdym Ministrem Przemysłu i Handlu a oprócz tego każdej konsolidacji narodowej byle dobrowolnej. Czym jest taka konsolidacja dobrowolna dla „sfer gospodarczych”? Jest to konsolidacja bez żadnych obowiązków, oprócz wygadywania i wypisywania najładniejszych frazesów patriotycznych... Jest to dalej konsolidacja „marazmowa”, bo tkwić będziemy w marazmie i osłabiać państwo, czekając aż nam sfery gospodarcze, właśnie na puchowym łozu jednomyślności, uprawiać będą dalej swoją politykę, stawiając państwu bądź wymagania i żądania bądź dla odmiany, żądania i wymagania. Po za tym będą interpelacje o zwyżkę cen i puszczanie wszelkich sposobów w ruch, aby ceny w kraju podskoczyły. W tym się pięknie przejawia inicjatywa prywatna. Towarzysz Pozytywka dla odmiany ogłosił, że „zaczyniacze” grożą... Towarzysz Pozytywka ma przecież do dyspozycji wielką partię polityczną zwaną P.P.S. (i przyznać trzeba, że jest to partia z piękną tradycją). Ale towarzysz Pozytywka woła: groź! Tak to czasami bywa, że grupa ludzi, skupiona przy jednym wyłącznie tygodniku... straszy, straszy cały ginący świat, a tygodnik staje się prosto groźny... I nic tu nie pomoże także np. „Odnowa” ze swoimi bredniami literalnymi.

Wszyscy doskonale wiedzą, że chodzi nam o dobrowolne, tak jest, panowie, dobrowolne wyrzucenie kanałów dla jednolitej woli kierującej, bez której współczesny naród w naszych warunkach nie wytrzyma wielkiej próby jaką jest wojna, która wymaga dokładnego i planowego przygotowania się do niej. Ale powtarzamy, że na dalszą stratę czasu nas nie stać... Zapraszamy się wszyscy do konsolidacji przez szybkie, uczciwe sprowadzenie się do wspólnego mianownika państwowego.

Nie boimy się żadnych etykiet, określeń i słów, którymi się „Zaczyn” obdarza i wcale nas nie straszy to, że wołacie, iż grzozimy. Odwagi, panowie! Albo konsolidacja z uznawaniem bezspornym nadrzędności interesu państwowego, albo stan wyjątkowy, który jest po prostu ratunkiem przed totalizmem śmierci.

KTO MA REAGOWAĆ?

Dekada, tygodnik akademicki podając (w numerze z 20 marca) wiadomość o sprawozdawczym

walnym zebraniu Bratniej Pomocy Studentów Politechniki Warszawskiej, w którym wziął udział również kurator stowarzyszenia prof. Paszkowski, wspomina o ciekawym szczególe... Oto „w dyskusji poruszono ubocznie ale obszernie kwestię deklaracji pułkownika Adama Koca”...

Zgóry przygotowana dyskusja oraz niedopuszczenie do głosu opozycji, pozwoliło oczywiście endeckim prowodyrom na znegowanie wszystkiego, czego tylko zapragnęli. Osoby, które koniecznie domagały się głosu, zostały uznane po różnych sztuczkach za pozbawione głosu i siłą usunięte z sali, a następnie dotkliwie pobite.

Postępowanie tego rodzaju domaga się stanowczej reakcji. Doprawdy, przecież można mieć różne przekonania, okoliczność taka jest nawet z pewnych względów pożądana.

Ale nie można przekonywać kogoś pięścią i kastetem! Tolerowanie tych rzeczy może doprowadzić do oswojenia się pewnych grup z chamtstwem i przemocą i uprawiania przez nie na terenie wszystkich uczelni stałych demagogicznych wypadków dla pewnych swoich zaściankowych celów. Trzeba reagować na objawy systematycznego gwałtu i terroru, aby ratować zdrowy trzon większości młodzieży akademickiej.

„Trzeba reagować!” Dobrze uczyniła by „Dekada” gdyby nas oświeciła kto ma reagować. Czy „opozycja” wobec tych, którzy się posługują pięścią i kastetem ma puścić również w ruch pięści i kastety? Czy też jest na to inny sposób, a jeżeli jest (bo jest napewno!) to jaki...? My się w tej sprawie wkrótce wypowiemy i to ani „letnio” ani dwuznacznie...

„DWIE MIARY”

W Państwie Pracy (z dnia 21 marca) czytamy:

Na walnym Zebraniu Bratniaka Politechniki student wybił oko koleźce. Zdawało by się, kodeks karny i t. d. A tymczasem sprawa tego wyczynu chodzi sobie spokojnie po Warszawie, — a władze uczelniane nie mogą go... odszukać.

Nic nam nie wiadomo, aby interweniował prokurator lub policja...

W Krakowie młodzież z Z. P. M. D., w odpowiedzi na stałe prowokacje endeckie, zdemolowała lokal którejś z endecko-klerykałnych organizacji. Natychmiast zjawili się policja, nastąpiły rewizje i aresztowania...

Nie wiśmy policji; owszem, doskonale się stało, że natychmiast się zjawiała — co dowodzi jej sprawności. Zapewne została przywołana. Policja nie zawsze jest obecna przy każdym wybijaniu oka, ale się zjawia gdy się demoluje lokale. „Dwie miary” jako tytuł pochodzi z „Państwa Pracy”. My zaś zapytujemy jeszcze raz: „Kto ma reagować?”

RÓWNANIE W DÓŁ

Walka młodzieży Państwowej Akademii Stomatologicznej o tytuł lekarza stomatologa ma swe głębsze znaczenie. Aczkolwiek jest to zagadnienie prywatno-zawodowe, chodzi o rzecz zasadniczą i o ważny precedens.

Wiadomym jest, że P. A. S. powstała po reorganizacji Państwowego Instytutu Dentystycznego, który znów powstał z Kursów Dentystycznych. Poziom Akademii jest o całe niebo wyższy, niż tych ostatnich uczelni. Absolwenci Akademii różnią się poziomem wiedzy i praktyką od absolwentów Instytutu i Kursów mniej więcej tyle, co doktor medycyny od felczera. A jednak M. W. R. i O. P. nadaje im ten sam tytuł lekarza-dentysty. Początkowo nadawało absolwentom Akademii tytuł lekarza-stomatologa, lecz teraz przyznało się do „omyłki” i wezwało dotychczasowych absolwentów do wymiany dyplomów...

Nie chodzi nam — powtarzamy — o tytuł, lecz

o precedens bardzo demoralizujący i groźny. To posunięcie jest konsekwentną linią M. W. i O. P. „równania w dół” na najniższy poziom, uprzywilejowania niedouków. Bo przecież degradacja stomatologów eo ipso awansuje niedouczycieli.

A może tak przez analogię wydziały medycyny cofną doktoraty, a będą nadawały stopnie pielęgniarskie, felczerskie i masażysty, a może wprost... znachora?

Dziwna walka! Komu na tym zależy?!

DZIESIĘC WIEKÓW POMYSŁNOŚCI

P. R. Helier komentując w *Je suis partout* nowo wydaną „Historię Anglii” A. Maurois podnosi zmysł realizmu, który Anglii zapewnił „dziesięć wieków pomysłności”.

„Dotykamy tutaj stałej wartości charakteru angielskiego, jego empiryzmu, jego umiejętności kompromisu”. „Mieszczanina ras była dobrze zrównoważona”, pisze autor, i całe jego dzieło ukazuje to przywiązanie Anglika do najbliższej rzeczywistości, to oddalenie od abstrakcyjnych syntez. Czy to chodzi o Magna Charta, czy o Bill of Rights, o utworzenie gabinetu, czy o usamodzielnienie Dominów, wszędzie odnajdujemy ten sam charakter ograniczony i konkretny postawionych pytań i przyjętych rozwiązań.

„Nie żeby Anglia była pozbawiona owych sił nie oznaczonych, owych nieokreślonych aspiracji w których obraca się życie uczuciowe rodzaju ludzkiego. Tak nie jest. Ale wydaje się, że jej geniusz własny polegał na wykluczeniu ich z dziedziny czynu i z polityki, i na zachowaniu ich dla sztuki, dla poezji, i, w pewnych wypadkach dla religii. Chociaż o ile chodzi o tę ostatnią dziedzinę, przesadzono niekiedy element religijny rewolucyj angielskich. P. Maurois określa je skończoną formułą. „Teologia, polityka, fiskalizm były w nich zmieszane w sposób nie dający się rozwikłać”. Nie zapominajmy zresztą, że konflikty religijne wywodziły się ze zdarzenia przede wszystkim politycznego, z zerwania z Rzymem, prostej konsekwencji wyspiarstwa”.

Ten zmysł realizmu, który w ciągu wieków przyświecał Anglii i który stworzył jej wielkość, znajduje coraz większe zrozumienie w państwach współczesnych. Jeszcze wodzowie wynajdują nowe hasła, nowe mity które, oddziaływując na wyobraźnię mas, mogą je skierować ku jednemu celowi, ale wszystkie owe idee dążą ku celowi bardzo ściśle określone i bardzo realnemu jakim jest państwo. Trzeźwość myślenia stała się naczelnym hasłem społeczeństw współczesnych. Dlatego właśnie tak wielką poczytnością cieszy się Historia Anglii, kraju, który w ciągu wieków z tak nieubłąganą konsekwencją przeprowadzał postulaty swej racji stanu.

WYDAWNICTWA
NADEŚLANE

Janina Miedzińska: „Na niemieckim froncie pracy”, nakładem „Biblioteki Polskiej”, Warszawa, 1937 r., str. 203.

Władysław Bagiński: „Kształtowanie rynku pracy w Niemczech”, nakładem „Instytutu Spraw Społecznych”, Warszawa, 1936 r., str. 130.

Koło Piątków Komenda Oddziału Warszawa: „Nasze założenia ideowe” i „O podstawę psychiczną legionistów” — referaty wygłoszone na miesięcznym zebraniu w dn. 8 grudnia 1936 r., Warszawa, styczeń 1937 r., str. 115.

Eryk A. Kołontay: „Naprawa polskiej gospodarki tłuszczowej” — Zarys projektu. Katowice, 1937 r. str. 66.

ZASADZKA WYBORCZA

Partia reksistów, faszystów belgijskich, osiąga coraz większe wpływy i znaczenie. Nie jest to dziełem przypadku. Belgia, bardziej niż jakikolwiek inny kraj europejski, jest w razie zbrojnego konfliktu narażona na niebezpieczeństwa, które zna aż nazbyt dobrze z czasów wielkiej wojny. Nic też dziwnego, że wielki odłam społeczeństwa skupia się pod wodzą Leona Degrelle, który obiecuje stworzyć z państwa belgijskiego organizację równie spójną jak organizacja jego groźnego sąsiada. Powodzenia partii skłoniły ją do zmanifestowania swej siły.

„A jakąż demonstracją mogła być bardziej rozgłośna, lojalniejsza, bardziej nieodparta niż wybory przeprowadzone pod kontrolą rządu? — pisze p. Pierre Daye w *Je suis Partout* — Jednakże wybory ustawodawcze miały się odbyć dopiero za trzy lata. Jak doprowadzić natychmiast do upragnionej demonstracji?

„Trzeba wiedzieć, że w Belgii posłowie są wybierani według list i że, aby uniknąć wyborów częściowych w czasie kadencji parlamentarnej, wybiera się zastępców jednocześnie z listami posłów. Gdy poseł ustępuje lub umiera, pierwszy zastępca z listy zajmuje jego miejsce. W razie nowego wakansu, do parlamentu wchodzi następny i t. d. Normalnie więc, poza zwykłymi czteroletnimi okresami, wyborów w Belgii nie ma.

„Istniał jednakże sposób ominięcia trudności: Leon Degrelle poprosił jednego z deputowanych ze swej listy w Brukselli, p. Olivier o ustąpienie

z Izby. Jednocześnie polecił wszystkim zastępcom z owej listy reksistowskiej, by również ustąpili. By zastąpić p. Olivier — gdy nie ma już zastępców — trzeba więc przeprowadzić dodatkowe wybory, które według Konstytucji belgijskiej muszą mieć miejsce w ciągu czterdziestu dni. Natychmiast Degrelle oświadczył, że przedstawi się ludności Brukselli jako kandydat.

„Reksiści widzieli niejasną możliwość, choć marzyć o niej nie śmieli, że sam p. van Zeeland podniesie rękawicę i że wszystkie inne partie powstrzymają się od wysuwania własnych kandydatów. Tak się jednak stało. W ten sposób wybory staną się pojedyńkiem Degrelle — van Zeeland. Ze szef rządu, który nie jest posłem, stanął do walki, to już fakt dosyć nieoczekiwany, ale że nie pomyślał o rozgłosnym uświetnieniu jakiego daje w ten sposób ambicjom Leona Degrelle, wydaje się jeszcze bardziej nadzwyczajne.

Degrelle bowiem nic nie ryzykuje. Prawdopodobnie nie zostanie wybrany. Ale zdaje się nie ulegać wątpliwości, że dostanie znacznie większą ilość głosów niż jego lista przed dziesięcioma miesiącami. Nie mówiąc już o możliwości osiągnięcia przez niego poważnej cyfry wyborców, nawet nieznaczne zwiększenie ilości głosów wyzyska dla swej propagandy. Nawet zupełne fiasco nie oznacza dla niego klęski, będzie się zapewne tłumaczył, tak jak się to zwykle dzieje w podobnych wypadkach, presją rządową.

Van Zeeland natomiast ryzykuje bardzo wiele.

Nie tylko swój prestiż, ale los całej koalicji rządzącej, wagę trzech partii, katolików, liberałów i socjalistów. W razie nie dość przekonującego zwycięstwa może doprowadzić do upadku rządu a nawet do rozwiązania parlamentu z chwilą, gdy król dojdzie do przekonania, że parlament obecny nie odpowiada nastrojom ludności.

I to właśnie w okresie, gdy po ustąpieniu Emila Vandervelde, do głosu doszli przedstawiciele młodszej pokolenia sprzeciwiający się tak samo komunizmowi jak i wszechwładzy parlamentu, dążący do organizacji wewnętrznej państwa w oparciu o partie istniejące, ale odzegnujący się od wszelkich wpływów zewnętrznych i komunistycznych i hitlerowskich.

Piękne jest odwoływanie się do woli ludu, tylko że ów lud podlega zmiennym nastrojom zależnym od natężenia propagandy, tylko że częste uciekanie się do plebiscytów prowadzi do rozpolitykowania mas. A gdy się odbywa w czasie organizacji państwa, w okresie krystalizacji poglądów, jest dla tej pracy organizacyjnej fatalne.

Bez żadnej potrzeby, prócz chęci ostatecznego zwalczania przeciwnika któremu się w ten sposób tylko powagi dodaje, wikłać się w walkę wyborczą, żądać od ludności, by się wypowiadała na temat nie realnych osiągnięć, na które nie było jeszcze czasu, ale na temat programów i obietnic, to błąd trudny do naprawienia, to oddawanie atutów w rękę tego, który tym więcej obiecuje, im mniej obietnice bierze sobie do serca. (6)

PALCEM PO MAPIE

Tydzień ubiegły, jeśli chodzi o sprawę bliżej Polskę obchodzącą, zaznaczył się dość niefortunnym wystąpieniem wrocławskiego „gauleitera” Wagnera w sprawie rzekomo złego traktowania mniejszości niemieckiej w Polsce. Cała prasa polska, tym razem bez różnicy kierunków i politycznego wyznania godnie odpowiedziała na jawnie kłamliwe zarzuty. Zwykle porównanie ilości szkół mniejszościowych po obu stronach granicy zupełnie wystarczyło do odparcia tego, jeśli chodzi o uzasadnienie faktyczne, bardzo słabo przygotowanego i niezbyt przemyślanego ataku.

Natomiast cel wystąpienia „gauleitera” Wagnera jest bardzo przejrzysty. Oto w czerwcu bieżącego roku wygasa słynna konwencja górnośląska, która przez lat piętnaście normowała zgoła szczególnie stan rzeczy na tym odcinku granicy polsko-niemieckiej, stan rzeczy, mówiąc nawiasem bodajże jednostronnie korzystny dla naszego zachodniego sąsiada.

Otóż obecnie Berlin był by rad narzucić Polsce utrzymanie tego stanu rzeczy w drodze zawarcia dwustronnej umowy, któraby, mówiąc otwarcie, utrwalała ograniczenie suwerenności Rzeczypospolitej na b. obszarach plebiscytowych.

Gra jest w danym wypadku aż nadto przejrzysta, tylko że nikt w Polsce do takiej gry nie usiadzie w charakterze partnera.

Rozumiemy i szanujemy dążenie Niemców do obalenia szeregu postanowień traktatowych, które zostały im narzucone w wyniku przegranej wojny i godziły w ich dumę narodową. Ale „próbny balon” wrocławskiego „gauleitera” — zawiera wyraźną chęć utrzymania narzuconych Polsce ograniczeń suwerenności w dziedzinie traktowania mniejszości niemieckiej na Górnym Śląsku, co należy napiętnować, jako przejaw wybitnie „nieryjskiej” — bo zgoła hontockiej moralności.

Zresztą wspomniany „próbny balon” pękł jak przysłowiowa bańka mydlana. Nie poto wypowiedzieliśmy traktaty o mniejszościach, narzucone nam w okresie słabości przez różne międzynarodówki,

abyśmy się mieli dziś dobrowolnie w tego rodzaju hańbiące zobowiązania wikłać.

Z dziedziny t. zw. „wielkiej polityki” na czoło wydarzeń wysuwa się wizyta króla Belgów Leopolda III-go w Londynie w związku z rozmowami na temat nowego paktu zachodniego. Sam fakt, jak się wydaje, wygląda narazie dość nierealnie. Wymiana not, odbywająca się co kilka miesięcy w tej materii pomiędzy Londynem i Paryżem z jednej strony, a Berlinem i Rzymem z drugiej — żywo przypomina „rozmówki z Ollendorfa”... w bardzo zwolnionym tempie. Temat rozmów młodego belgijskiego monarchy w Londynie jest dość drażliwy, nawet z polskiego punktu widzenia.

Jako główny sprzymierzeniec Francji na Wschodzie, jesteśmy, w razie czego zainteresowani, aby akcja francuska była jak najszybsza i jak najbardziej skuteczna. Wiąże się to ze sprawą ewentualnego przemarszu wojsk angielsko-francuskich przez Belgię, co wszakże bynajmniej nie może stwarzać precedensu dla czyjegokolwiek przemarszu przez Polskę.

Świat winien sobie z góry uświadomić zasadniczą różnicę, zachodzącą pomiędzy wojskami Anglii i Francji, które to dwa mocarstwa niepodległości Belgii nie zagrażają, a czerwoną armią, która, sądząc z wynurzeń moskiewskich w okresie rozmów na temat „paktu wschodniego”, również miała by ochotę na przemarsz przez Polskę.

Różnica ta chyba jest tak oczywista, że realistycznym politykom zachodu nie trzeba jej zapewne tłumaczyć. Winni po prostu pamiętać, że „czerwony przemarsz” (dokonany oczywiście tylko po naszych trupach) zatrzymał by się... dopiero na półwyspie Pirenejskim.

Przemarsz taki już za Renem nie napotkał by na najmniejsze trudności, o czym świadczą choćby ostatnie wydarzenia we Francji, gdzie czynniki wywrotowe, mimo iż wchodzi w skład obecnej koalicji rządowej, nie mogły wytrzymać na widok manifestacji jedności narodowej w postaci sukcesu pożyczki na cele obrony.

Opisy krwawych wydarzeń w Clichy, drukowane w olbrzymich ilościach przez prasę sowiecką nie pozostawiają żadnych złudzeń co do tego, kto owe zajścia sprowokował. Tak zwany „front ludowy” okazał się typowym „koniem trojańskim”, którego lokatorzy zaczynają powoli ujawniać swe prawdziwe, a mało zachęcające oblicze.

Sprawy wewnętrzne Francji zasługują na bacznej obserwację w związku ze stanem rzeczy w Hiszpanii. Załamanie ofensywy włoskiej na Guadalajara, a zwłaszcza zachowanie się jeńców włoskich, wziętych do niewoli przez armię rządową jest bardzo zastanawiające. Dla piszącego te słowa nie ulega wątpliwości, iż włoski korpus ekspedycyjny został zdemoralizowany przez propagandę strony „czerwonej”. Istniała by w danym wypadku całkowita analogia z losami alianckich korpusów ekspedycyjnych podczas wojny domowej w Rosji.

Wreszcie, wedle wielu objawów i analogii, generał Franco i jego towarzysze nie są „faszystami”, lecz, co o wiele gorsze — są typowymi „białymi generałami”. Wojna domowa w Hiszpanii przeciąga się — a, jak wiadomo, czas w wojnie domowej zawsze pracuje na korzyść nietylko „lewicy” społecznej, co na korzyść strony, operującej bardziej radykalnymi hasłami.

Natomiast w ubiegłym tygodniu generał Franco miał bardzo udane posunięcie polityczne w postaci zrewelowania noty rządu w Walencji, proponującej Anglii i Francji Marokko hiszpańskie, wzamian za udzielenie pomocy przeciwko powstańcom.

Jako że Marokko od chwili wybuchu powstania nie podlega władzy rządu — było to typowe podarowanie Niderlandów królowi szwedzkiemu przez nieśmiertelnego pana Zagłobę, którego najnowszym wcieleniem jest, jak widać, minister spraw zagranicznych w Walencji p. del Vayo.

Rzecz inna, że w takim wypadku miano „Targowicy” należy się niepodzielnie stronie „czerwonej”, co jest tym ciekawsze, iż międzynarodówka „antyfaszystowska” stale pomawiała o „frymactwienie terytorium hiszpańskim” — właśnie powstańców. (66)

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544

Do 31.3 1937 r. Numer pojedynczy 40 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. 40 gr. — kwartalna w kraju 4 zł. — zagranicą 6 zł.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Leon Borkowski

Godziny przyjęć redakcji: 5–6 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 10–12 i 5–7.

Cennik ogłoszeń: za tekstem $\frac{1}{1}$ — 300 zł., $\frac{1}{2}$ — 160 zł., $\frac{1}{4}$ — 85 zł., $\frac{1}{8}$ — 45 zł., $\frac{1}{16}$ — 25 zł. Za wiersz milimetry — 70 gr. Układ tabelaryczny 50% drożej.